

Kronika tygodniowa.

Polityka ma to do siebie, że kto raz w nią „wdepnął“, ani rusz z niej wyleźć nie może.

I kronikarz znalazł się w tem miłym położeniu, co owa baba z przysłowia, która sobie kupiła prosię, bo teraz dopiero widzi, ile sobie z tą polityką narobił kłopotu. Dwa tygodnie już czerpie z politycznej beczki, a do dna dojść nie może.

Kto jednak powiedział a, dla samej konsekwencji rzeknąć musi i b, to jest bawić się nią aż do skutku, co mu może chyba o tyle wyjść na dobre, że przy spodziewanej rekonstrukcji gabinetu gotowa go Warszawa zaprosić, aby raczył zająć któryś z opróżnionych foteli.

Czy się to przecież opłaci, to rzecz inna. Minister za swoje trudy pobiera podobno pięć tysięcy marek miesięcznie, co mu pozwala na zjedzenie codziennie obiadu, złożonego z trzech dań i na danie raz na rok butów do podzelowania, ale w jakimś stosunku stoi ta gaża do wynagrodzenia zwykłego policjanta, który według tego, co czytaliśmy na swoje własne oczy, ma pobierać trzy tysiące marek miesięcznie, mundur i różne deputaty?

Taki wniosek miała postawić misja angielska, która przybyła do nas w celu zreformowania na angielską modłę naszej służby bezpieczeństwa publicznego. Spodziewać się należy, że na tem nie koniec, bo przecież kaidemu należy się jakiś awans, muszą być różne stopnie w policyjnej hierarchii. Zatem taki na przykład wachmistrz policyi powinien dojść do najmniej do dziesięciu tysięcy miesięcznie, roczna zaś płaca oficera nie bardzo odbiegnie od miliona.

I nie też dziwnego, że, jak nam donoszą, w samym Krakowie wpłynęło dotąd sto jedenaście tysięcy siedemset trzydzieści dwa podania o przyjęcie do służby policyjnej, choć miejsce do obsadzenia jest ogółem tylko pięćset. Między ubiegającymi się o posady posterunkowych jest dwudziestu dwu profesorów uniwersytetu, radców różnego rodzaju i to prawdziwych, a nie cesarskich, liczy się na kopy, drobniejszy nabytek na tysiące. Związczą emeryci zabiegają bardzo energicznie o tą „godność“.

Niedawno spotkał kronikarz znajomego, emerytowanego radcę sądowego, czy nawet „hofrata“, który na zapytanie „co słychać“, rzekł:

— Straszna bieda!... Z tej nędznej emerytury, jaką pobieram, wyżyć nie mogę, wobec tego wolałem podanie o przyjęcie mnie do policyi na posterunkowego. Kilka godzin spaceru dziennie po ulicach miasta to nic, zresztą lekarz zalecił mi wiele ruchu. A sam pan przyzna, że trzy tysiące miesięcznie, to nie do pogardzenia... Nie mam też co robić z czasem, a tam znajdę zawsze jakieś zajęcie. Jako prawnik, jestem chyba najbardziej kompetentny do orzekania, czy ktoś przestrzega przepisów.

— Czytać, kochany radco — ja mu na to — pisać co....

— Piszę, panie łaskawy!... Humorystyka, to mój fach, zasłan też bezinteresownie wszystkie redakcje krakowskie, ale tylko jedna mi drukuje... I to do tego tygodnika, a ja dziennie jestem w stanie napisać tyśiąc wierszy i to o czem pan chce i jak pan chce!... Wesole lub smutno, to mi wszystko jedno!... Umnie to idzie jak z rękaw!...

— A nie zdarzy się też czasem kochanemu radcy, że ludzie płaczą, czytając to, co jako „wesole“ wyszło z pod jego pióra?

— Niech sobie płaczą!... Grunt, aby wydrukowano, co napiszę... I co pan na to powie, że w całym Krakowie znalazł się tylko jeden redaktor, który się na mnie poznał... Obiecał mi nawet, że się postara dla mnie o nagrodę Nobla, aby mi się wywdzięczyć za to, że mu całkiem *gratis* zmacham numer... Namawiam go, aby swój tygodnik zmienił teraz na dziennik humorystyczny, a ja chętnie zastąpię wszystkich współpracowników...

— To z radcy dobrodzieja prawdziwy humorystyczny... karabin maszynowy!

— Tak, panie! Karabin...

I bądź tu dziennikarzem, wobec takiej konkurencji!... Powiedz wydawcy, że to, co mu taki emerytowany radca pisze, nie ma sensu, on ci zaraz na to odpowie:

— Być może! Ja się tam na tem nie znam!... Grunt, że mnie to nic nie kosztuje...

Rozwatywszy zatem wszystko, dochodzi kronikarz do konkluzji, że kto wie, czy nie lepiej będzie słamać kronikarskie pióro i wziąć na plecy policyjny karabin, a w kieszeni trzy tysiące marek i nie potrzebować sobie nad tem łamać głowę, w co się ubrać, co w usta włożyć? Kupił już nawet arkusz papieru, by wnieść podanie o posadę posterunkowego, ale... boi

się brudnej konkurencji jakiegoś radcy-emeryta, który gotów się nawet pensji zrzeknąć, byle tylko mieć czem zabić czas i używać ruchu, a przytem „urzędować“, bo to stało się jego drugą naturą.

Wróćmy przecież do owego wynagrodzenia posterunkowych i zapytajmy się, czy ono nie jest przypadkowo zbyt hojne?... Na oko, może tak, ale w rezultacie musi się przyznać, że ma i swoje dobre strony i to nie tylko dla tego, który je pobiera, ale i dla ogółu... Taki trzytysięczny policjant, aby nie stracić posady i jeszcze awansować, spełni należycie swe obowiązki, nie weźmie łapówki, co zaś najważniejsze, każdy, nawet bandyta i paskarz, będzie się do niego odnosił z należytym respektom, jakiego nie zna dla urzędnika nawet szóstej rangi, uważając go, całkiem zresztą słusznie, za hołysza, przymierzającego gładem, nie mającego się w co odziać, zalegającego z czynszem i t. d.

Ile to taki minister musi się za swe pięć tysięcy miesięcznie (i to bez munduru i innych dodatków!) nasłuchać w Sejmie od rozmaitych posłów, jak sobie na nim używa prasa i cała opinia publiczna... A on to musi schować w kieszeń i zrobić wesołą minę... Czy nie wygodniejszy i spokojniejszy żywot takiego posterunkowego, który pospaceruje sobie po ulicy, potem przyjdzie na strażnicę i zamelduje:

— Obywatelu wachmistrzu!... Nic nowego — i już ma spokój na cały dzień, mogąc sobie resztę czasu obrócić nawet na pisanie, a jeżeli nie jest literatem-amatorem (czyli grafomanem...), na pójście na „bombkę“, bo go stać na to.

Wilson, Clemenceau, Paderewski i inni (może w najbliższym czasie i pan Skulski...) byłby zatem lepiej zrobili, gdyby zamiast bawić się w politykę, byli się ubiegali o stanowisko posterunkowych w samodzielnej i zjednoczonej Polsce.

Jeśli to nie kaczka dziennikarska, to, dzięki owym trzem tysiącom marek miesięcznie, gotowe wszystkim naszym urzędom grozić wyłudzenie, bo każdy z pracowników rzuci dotychczasowy niewdzięczny zawód i zgłosi się do policyi.

Rodzaj męski niech jednak nie zapomina o tem, że bardzo łatwo może się i tutaj spotkać z konkurencją żeńską, bo nie jest bynajmniej wykluczonem, że znajdzie się w Warszawie jakiś postępowy referent, który orzeknie, że „matergał męski da się łatwo zastąpić matergałem żeńskim“ i sprawa przegrana na całej linii. Mogą się niewiasty nadawać do służby wojskowej w „batalionach wartowniczych“, mogą znaleźć miejsce i w policyjnej służbie, zwłaszcza, że pełnią ją już w Anglii i to podobno bardzo sprawnie, a policyję reformują u nas przecież Anglicy. Nawet najbutniejszy i najgwałtowniejszy apasz lub bandyta z większą przyjemnością pójdzie „pod Telegraf“ z ładną policyantką niż z brzydkim policyantem.

Nie rómy sobie zatem zawczasu nadziei złotych, aby nie przyszło po nich przykre rozczarowanie, gdyż niewiadomo, co powie Warszawa. A wiadomo, że „*Varsovia locuta, causa finita*“... Nie pomoże ani „święty Boże!...“

Dawniej mówiono „starosta albo kapucyn“, dziś sobie kronikarz powiada „minister czy posterunkowy“, i, gdyby mu dano do wyboru, wybrałby to drugie, dopóki zaś do ostatecznego rozstrzygnięcia nie dojdzie, musi się bawić swym dawnym „fachem“ i kontynuować, co zaczął.

Być może, że ktoś go zapyta, dlaczego, choć udaje polityka, nie wybrał się do Borysowa lub San Remo... Na to odpowie, że do Borysowa nie było po co, a do San Remo zapomniał go zaprosić, tak jak niemieckiego kanclerza. Zresztą jest tam pan Patek, to zupełnie powinno wystarczyć. Tak, czy owak, referowanie spraw, obchodzących Polskę, oddaje się jakemuś Grekowi lub Brazylijczykowi, wychodząc z zasady, że jako nie znający danych spraw i stosunków, będą najbardziej bezstronni.

Kronikarz siedzi spokojnie w Krakowie i zastanawia się nad tem, jaką też korzyść odniesiemy, jeżeli się przyczynimy do powstania Ukrainy w jej „historycznych granicach“.

I tak, zaraz na samym początku utknął i ani rusz naprzód!... Jakże mogą być granice tego, co nigdy nie istniało, a zrodziło się dzięki Austrii i Niemcom, które w tem miały swój interes. Toć to przecież Ruś a część jej nazywano Ukrainą, podobnie jak na południu Węgier było Pogranicze wojskowe. Ukraińcy — to zatem żadna narodowość, bo chyba dotąd o jakimś „Pograniczniku“ nikt nie słyszał.

Niechcie ostatecznie znać się te granice i niech już powstanie owa Ukraina, drugi sek, czy jej przedstawiciele, którzy obecnie robią do nas „perskie oko“, bo nas im potrzeba, dotrzymają tego, co obiecują?... Tyle już mieliśmy z ich strony dowodów wprost wrolego usposobienia, z czem się bynajmniej nie kryli i nie kryją dotąd, że należy być z tej strony przygotowanym na wszelkiego rodzaju niespodzianki. Teraz

interes wymaga, aby szli razem z nami, zwłaszcza, że my mamy wyciągać dla nich gorące kasztany z pieca, ale co będzie, jeśli inny wiatr zawieje a „interesy“ się zmienią?... Wykazaliśmy zaś poprzednio, co znaczy interes w polityce.

„Obym był fałszywym prorokiem!“ — powiada kronikarz, lecz z wielką nieufnością patrzy w tamtą stronę, zwłaszcza, że nie wygasił tam dotąd niemieckie wpływy, a tak zwany „Ukraińiec“ daleko większą sympatię czuje do Prusaka, niż do swojego najbliższego sąsiada, który go wyprowadził na ludzi. Bo i czemu byłaby ta „Ukraina“, gdyby nie Polska?... Toż to do dnia dzisiejszego ciemna masa chłopska, którą wodzą za nos ci, których wyksztalciliśmy w tym celu, by byli pionierami zachodniej kultury w tym narodzie.

Jak się z tego wywiązał i jaką nam za to okazali wdzięczność, mówią fakty. A jeżeli tak było dotąd, czy się można spodziewać, że nadal będzie inaczej?...

Optymiści mówią, że nie należy tracić nadziei, gdyż Ukraińcy przysili już do rozumu i widzą, że tylko w sojuszu z Polską jest ich przyszłość, pesymiści twierdzą, że z tej maki nie będzie chleba, a jeśli miałby być, to będzie z zakalcem i bardzo niestrawny.

Dzięki tym „ukraińskim“ medytacyom, nad któremi kronikarz łamał sobie także głowę, zapomniał na śmierć, że ubiegły tydzień był przeznaczony na stemplowanie koronowych selek i tysięcy. I nie wiele brakowało, a byłby ponosił stratę, całe przecież w tem szczęście, że w swym skarbie nie posiadał ani jednego egzemplarza.

Krakowianie inni wydobyli natomiast z kas, kufrow i portfeli swe oszczędności i pospieszili z niemi do banków, w których im przez pierwsze cztery dni wymieniono ogółem coś około sto pięćdziesiąt milionów. Gotówki więc nie brak, należy się zatem spodziewać, że subskrypcya pożyczki państwowej pójdzie jak z płatka.

W czasie owego stemplowania a raczej wymiany zauważyliśmy w Krakowie dwa rodzaje „ogonków“. Przed bankami zgromadzili się ci, którzy mają pieniądze, to jest różnego rodzaju handlarze, przemysłowcy i t. p., pracujący pod znakiem „paska“, a przed ich lokalami czekał „ogon“ ich odbiorców, póki nie wrócą z „ostemplowania“. Kronikarz z tego powodu nie dostał rano bułki do herbaty (jedynej zbytek na jaki sobie lekko mógł pozwolić...), ponieważ pan sklepikarz, nadworny jego dostawca, poszedł rano z swymi walorami do banku, potem wstąpił celem wzmocnienia słabego ciała do Hawelki czy Wentzla, sklepik swój mógł zatem otworzyć dopiero popołudniu.

Z okolicznych wsi zwieźli nas pocztowi „kmiotkowie“ także sporo gotowizny. Pokazywano sobie pewną gospodynię, która dzwigała całą poszewkę, wypchaną banknotami. Główni inteligenci wyobrażali sobie tylko, jak przyjemny musi być sen, gdy się może oprzeć głowę na takiej poduszce.

Z koronami wzięliśmy zatem urzędowy rozbrat, liczymy na marki, ale jakoś się doliczyć nie możemy. Stosunek dni w miesiącu do poborów przeciętnego zjadacza kartkowego chleba (którego nie widzieliśmy już od przeszło miesiąca...) jest tego rodzaju, że się musi dojść do przekonania, iż nawet luty, choć tak krótki, jak obecne damskie suknie, jest przecież przynajmniej o dwadzieścia dni za dług. Urzędnicy pobierają już dwa razy w miesiącu gaże, ale i to do niewiele im pomaga, pokazuje się, że trzeba będzie skrócić każdy miesiąc przynajmniej o połowę, bo inaczej „nie da rady“...

Kupcy i przemysłowcy zacieraają z tego powodu ręce i powiadają, że „im to „dobrze zrobi“... Będzie można znów podnieść ceny, a jeden z nich oświadczył wyraźnie:

— W tym miesiącu jeszcze nie podniosłem ceny!... Nie miałem serca, bo i... z czegoż będą płacić?...

Z polityką ma „także“ pewien związek i dzień pierwszy maja, jako „święto pracy“, które właśnie dla tego ma być obchodzone przez wstrzymanie się od pracy. Próżniactwo jest bardzo przyjemne, zwłaszcza, jeżeli za nie jeszcze płać, sfery pracujące z wielkim też niezadowoleniem przyjęły „do wiadomości“ projekt Poznańczyków, którzy postanowili w tym dniu pracować na rzecz „odbudowy kraju i uruchomienia przemysłu“. Jak święto, to święto — i projekt, „jako niemożliwy“ z ideą postępu, poszedł do kosza.

Tegoroczny pierwszy maj wypadł bardzo dobrze, bo na sobotę, potem świętowało się z obowiązku niedzielę, a na poniedziałek wypadła rocznica Konstytucji Trzeciego Maja, więc święto narodowe. Świętowaliśmy zatem przez trzy dni z rzędu, ciesząc się, że w tym tygodniu „zbyt się nie zmęczymy, bo to znów na sobotę przypada „święty Stanisław“ i spacer na Skałkę, z odwiedzeniem po drodze lokalu „pod Krzyżkiem“, gdzie jest taki smaczny młodok.

Niestety, zamarli już stare mieszczańskie tradycje Krakowian, pan Tomasz lub Walenty wstydzi się przystać, że kiedyś na młodok chodził... I oni poszli za postępowym czasem, który zrobił z nich nowych ludzi, do starego, zacnego pokolenia zupełnie nie podobnych!...